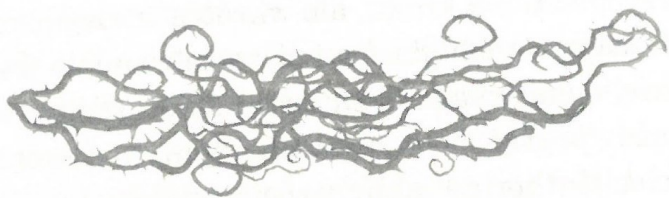


Rozdział 15



Ona ma Głos.

Edmund zadrżał. Wypalił resztki rodzinnych zapasów oleju i zwęglił do końca knot lampy. Otworzył okno pokoju, żeby wpuścić światło, ale do środka wpadł tylko ostry, zimny przeciąg.

Jest niewyobrażalnie piękny, nabazgrał na marginesie wokół zawijasa starożytnego symbolu Mocne Piśmo, autor ostatnich stronicy książki: Wtedy pierwszy raz poczułem to, co inni mężczyźni nazywają miłością.

– Kim ty jesteś? – Edmund pochylił się nisko, wsparty na ręce. – Kim jest Ona? – Wbijał wzrok w litery, ale nie odnalazł odpowiedzi.

Nie może umrzeć. Nigdy nie umrze. Jakimż byłem głupcem, skoro myślałem inaczej. Tu pismo straciło swą stanowczość, zmieniło się w pajęczkę, ściśnięte na końcu strony. Ona jest krynicą i źródłem wszel-

kich myśli, wszelkiej mocy, wszystkiego, co skrywane przed ludźmi. Ci, którzy służyli Jej dawno temu, zyskali władzę, o jakiej nie śniło się królom. Uczynię tak jak oni kiedyś i będę Jej służyć jak oni. Wezwała mnie, a ja odpowiedziałem. Mam na zawsze stać się Jej własnością.

Edmund wyprostował plecy i potarł ręką oczy. Zapasowa tunika Geoffreya wisiała na brzeжку skrzyni – spadek po starszym bracie, jak wszystkie jego ubrania. W kącie wały się zabawki: kilku rycerzy wyrzeźbionych z kawałków drewna, miecz zrobiony z patyków związanych szpagatem, bąk, który nigdy nie obracał się jak należy.

– Znajdę cię. – Ścisnął palcami grzbiet nosa, częściowo by się obudzić, a częściowo by nie zapłakać. – Przysięgam, że cię znajdę.

Znów przebiegł wzrokiem wszystkie miejsca w książce, gdzie znalazł wskazówki czy domysły co do drogi w górach.

Dwa ośrodki, jeden to miasto, drugi – zakazana twierdza Zbieraczy. Miejsce, w którym rzeki łączą się w dolinie. Potem następowała lista, nazwy wszystkich rzek, które Edmund znał, i jednej, której nie znał: Tamber, Rushing, Mara, Swift. Czy wszystkie płyną na południe? Spytać Aelfrica, czy ma egzemplarz Plegmunda.

– Plegmunda... – Edmund usiłował zmusić do pracy wyczerpany umysł. Tego samego Plegmunda, który napisał „Podróż za Morze Białe”? Aelfrica – lorda Aelfrica?

Ktoś zastukał do drzwi.

– Edmundzie? Synu?

W ostatniej chwili wepchnął książkę za zagłówek. Jego matka otworzyła drzwi.

– Och, synu, nie spałeś.

– Mamo, możemy go uratować. – Usiadł na swoim piórze. – Możemy ocalić Geoffreya. Ja to wiem.

Matka przysiadła u jego boku.

– Mój chłopcze. – Pogładziła mu włosy. – Mój kochany chłopcze.

Ona też nie spała – całą noc słyszał przez ścianę, jak płacze.

– Och, mój synu. – Wytarła twarz chustką i wydmuchnęła nos. – Kochałeś swojego brata, prawda? Kochałeś.

Edmund złapał ją za rękaw.

– Nie mów, jakby już nie żył, mamo! On żyje!

– Próbowaleś. – Uścisnęła mu rękę. – Nigdy nie zapomnę, że próbowałeś.

– Proszę, mamo, nie poddawaj się.

Matka zwinęła chustkę, po czym rozłożyła ją.

– Miałeś też siostrę. Czy ojciec wspominał ci o tym kiedyś?

Edmundowi zakręciło się w głowie. Siostrę?

– Nie. Kiedy?

– Rok przed twoimi narodzinami. Przyszła na świat cała sina. Ona... – Matka nie zdołała dokończyć. Skuliła się i zaczęła płakać, a Edmund objął ją czule ramieniem i przytulił. Od jej szlochów trzęsło się całe łóżko. – Och. Och. – Ucałowała syna w policzek, mo-

cząc go łzami. – Mój słodki chłopcze, teraz zostałeś tylko ty. Mój jedyny.

Otworzył usta, by oznajmić, że się nie podda, że sprawdzi każdy możliwy ślad – i nagle zrozumiał, że to ostatnia rzecz, jaką powinien powiedzieć.

Matka podniosła się powoli, każdy jej oddech brzmiał jak westchnienie.

– Powinniśmy już zejść. Przybył lord Aelfric. Kazał wszystkim zebrać się na placu.

– Tak, mamo. – Edmund sięgnął po buty. Może lord Aelfric wie coś, co pomoże. Warto przynajmniej spróbować.

– Pamiętaj, żeby zjeść śniadanie. – Schodząc na dół, zebrała włosy i nie patrząc, splotła je w warkocz. – Wyjęłam ci chodaki. Dziś rano zbieramy plony na Czerwonej Mordze.

Oszołomiony Edmund znieruchomiał w drzwiach.

– Dzisiaj?

Zszedł do tawerny i otworzył drzwi frontowe. Sąsiedzi, szurając nogami, wędrowali gościńcem do Longsettle, zmierzając ze znużeniem na plac. Ojciec stał z kilkunastoma miejscowymi na kamiennych stopniach domu spotkań; wszyscy mieli na sobie przybrudzone, zielone kaftany wioskowego zaciągu. Niektórzy wspierali się na włóczniach, reszta była uzbrojona w łuki, pałki i topory. Miedzy nimi warowało pół tuzina psów, kudłatych owczarków merdających ogonami w oczekiwaniu na łowy.

– Raz jeszcze muszę prosić wszystkich o ciszę. – Harry stał o schodek wyżej, odziany w lśniącą zbroję

i kolorową narzutkę. U jego pasa wisiał zdobny miecz w okutej srebrem pochwie. – Mój szlachetny ojciec jest świadom wydarzeń zeszłej nocy i tego, co mogą zwiastować. Dlatego właśnie przybyliśmy tu dzisiaj, by zbadać okolice wioski, szukając śladów zaginionych dzieci. Ojciec mój łaskawie postanowił zwolnić tuzin waszych mężczyzn od pracy, aby wspomogli go w wysiłkach. W zamian nie domaga się dodatkowej daniny, bo smutek tego dnia za bardzo rani mu serce. Musicie mu zaufać, jak przystało jego poddanym.

Edmund wyszedł na słońce. Bezbarwne promienie oświetlały zimne, posępne góry na zachodzie. Zaczął się przepychać przez narastający tłum.

– Tam jest! – Hob Hallows klepnął go po ramieniu. – Oto nasz człowiek, czarodziej z Moorvale!

Jego brat Bob sapnął i wymierzył Edmundowi solidnego kuksańca. Nigdy wcześniej nie był tak bliski odezwania się.

– Wieści szybko się rozchodzą. – Wat Cooper nachylił się z uśmiechem nad Edmundem. – Zdawało mi się, że zeszłej nocy widziałem światło na wzgórzu. Cała wieś o tym gada.

– Ha, a my sądziliśmy, że całe życie będziesz podawał nam piwo. – Hob beknął i roześmiał się. – Pomyślcie tylko, chłopcy, kto odziedziczy gospodę, gdy ten tu Edmund ucieknie pobierać nauki u wielkiego, bogatego czarodzieja, skoro...

Hob umilkł – zarówno jego brat, jak i Wat Cooper miażdżyli go wzrokiem. Edmund zagryzł wargę, by nie rozplakać się na ich oczach.

– O, hej, Edmundzie. – Hob podrapał się po zjeżonej brodzie. – Nie zrozum mnie źle. Na pewno jest jeszcze nadzieja dla Geoffreya.

Edmund bez słowa ruszył naprzód, prześlizgując się między podenerwowanymi, rozgadanyimi sąsiadami, aż w końcu dotarł na czoło tłumowi.

– Gdybyśmy tylko mogli wszyscy przeczesać wzgórza i pustkowia w poszukiwaniu zaginionego chłopca i dziewczynki. – Harry trzymał pod pachą lśniącego hełm. Drugą ręką gestykulował, unosząc dłoń w wystudiowanym geście mówcy. Edmund widział kiedyś podobny, naszkicowany w podręczniku etykiety dworskiej. – Nie muszę wam chyba przypominać, że nawet strach przed ohydnyimi stworami z lasów nie powinien wymazać z waszej pamięci nadchodzącej wkrótce zimy. Wam zatem przypada zadanie dokończenia pracy w polach, abyście mogli zebrać zasiane ziarno i przechować dość, by wykarmić rodziny do wiosny.

– To nie na naszych polach dziś pracujemy – wy-mamrotał ktoś cichym głosem – tylko na waszych.

– Teraz ci z was, wyznaczeni do poszukiwań, pomaszerują razem do twierdzy. – Harry odwrócił się ku zaciągowi: większość z mężczyzn była dwa razy starsza od niego. – Tam zbadamy grunt w poszukiwaniu owych stworów i jeśli się uda, puścimy ich tropem psy. Jeżeli będziemy musieli podążać więcej niż jednym śladem, podzielimy się na oddziały liczące co najmniej pięciu mężczyzn każdy. Chcę, żeby wszyscy trzymali się blisko, nie odchodzili gdzieś sami. Bądźcie stale czujni, pamiętajcie, że atak może nadejść z każdej strony.